

Marcin Brynda

część I z III

Sygnatura notacji: **N0527**

Data urodzenia: **13.04.1967 r.**

Data nagrania: **28.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 59 min, część II: 59 min, część III: 25 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Marcin Brynda: Nazywam się Marcin Brynda, urodziłem się 13 kwietnia 1967 roku w Warszawie, chyba nawet dokładnie w szpitalu na Szaserów. Rodzice to Maria i Stanisław Brynda. Mama pochodzi z Warszawy, tata spod Warszawy. Miejscowość koło Warki, Chynów. No i tak, żeby wprowadzić może na początek właśnie te pierwsze wspomnienia. Już nie mówię o samym dzieciństwie, ale większość tego, co się wydarzyło w moim późniejszym życiu wzięło się stąd, że miałem przez wiele lat kontakt z babcią, która była osobą bardzo wierzącą i która przekazywała mi dużo informacji na różne tematy. I tutaj rozpocznę od tego, że zawsze, ponieważ babcia pochodziła z Wilna, nigdy inaczej nie mówiła o Rosjanach jak kacapy. I już w domu był taki, można powiedzieć, narzucało to pewną narrację w domu, więc inaczej się nie mówiło o Rosjanach. Babcia zawsze opowiadała o swoim dzieciństwie w Wilnie, jak zostali wygnani, o majątku, mieli majątek rodziców babci, czyli państwa Ciecierskich w Hulidowie, niedaleko Wilna. I babcia zawsze opowiadała. I tak tytułem wstępu chciałem opowiedzieć, że to jest taka jakby z mojej, z okresu dzieciństwa rzecz, która mi zapadła bardzo w pamięć, że jak przyszli Rosjanie, a obie babcie miały chyba krzyż Virtuti Militari, tak mi się wydaje. Albo jakiś Krzyż Zasługi za wojnę z 1920 roku to służąca zdążyła tylko te krzyże potopić gdzieś tam w jakimś dole, czy w wodzie. I jak przyszli ci Rosjanie, to babcia opowiadała, że wyrwali – był fortepian – wyrwali klapę z fortepianu, wrzucili tam siano czy słomę i tam miał spać naczelnik. Następnie wyrwali klepki, żeby zrobić ognisko. Pozrywali bagnetami klepki, a ci te kobiety, które tam grały na harmonii, jakieś Rosjanki z prababci szafy powyciągały takie suknie nocne i zakładały to na mundury, żeby myślały, że to są suknie do tańczenia. A, poza tym nie potrafili się myć, więc w ubikacji myli się wodą prosto z klozetu czy coś takiego. Więc to mi zapadło w pamięć. Teraz, wspominając już z dzieciństwa właśnie z babcią bardzo często jeździłem do Palmir. Chodziliśmy na groby powstańców, chodziliśmy na cmentarze. Babcia mi pokazywała miejsca pamięci, także to jakby to był

taki naturalny u mnie trend, żeby się tym interesować już w dzieciństwie. Później jak poszedłem do szkoły, to też oczywiście, no to już jakby we mnie tkwiło i całe moje dzieciństwo powiedziałbym tak do 12 roku życia się interesowałem bronią. Zrobiłem sobie w domu jakieś takie muzeum, chodziliśmy z kolegami gdzieś, wydłubywaliśmy jakieś naboje, kupowaliśmy bagnety na targu, jeździliśmy na Perskich, kupowaliśmy jakieś takie stare przedmioty z okresu wojny, więc miałem takie małe muzeum w domu. W czasie wakacji gdzieś tam wyciągaliśmy od rolników chodząc jak np. jeździłem na wakacje w okolice Zamościa do Zwierzyńca, to tam ludzie mieli jakieś takie stare karabiny, już oczywiście zardzewiałe, ale ja to zabierałem i przywoziłem do Warszawy. Robiłem sobie takie muzeum, więc. Z drugiej strony chodziłem, zawsze interesowało mnie Muzeum Wojska Polskiego i muzeum... Babcia mówiła bardzo dużo o Powstaniu, ponieważ babcia była pianistką, grała w czasie... Po prostu zarabiała tym, raz, że udzielała lekcji rytmiki w szkołach, a wieczorami grała w kawiarniach warszawskich i grała wiązanki pieśni akowskich z Powstania i starzy Akowcy przychodzili. Ja często tam wpadałem do babci na jakąś wuzetkę, czy babcia mnie tam zapraszała. Siedziałem sobie, widziałem tych akowców, jak oni przychodzili, dawali jakieś tam drobne pieniądze i babcia grała te wiązanki piosenek powstańczych. Więc o tych powstańcach słyszałem ciągle opowieści. Babcia nie brała udziału w powstaniu, natomiast właśnie po wojnie grała w tych kawiarniach. Pamiętam, że w „Świteziance” grała. I tam bardzo dużo tych Akowców przychodziło. No i było tak, że cały czas o tym Powstaniu babcia mi mówiła. Dostałem od babci pamiętam jakąś taką książkę. Oczywiście pamiętam tylko tytuł. To była „Baszta K-3 walczy”, ale pamiętam, że przeczytałem ją jako mały chłopiec i zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie. Jednocześnie potem, jak już byłem w szkole podstawowej, chodziliśmy z kolegami do Muzeum Warszawy. To było muzeum tam na placu, znaczy na Rynku Starego Miasta. I wtedy nie było Muzeum Powstania Warszawskiego, ale była taka ekspozycja chyba na drugim piętrze, nie pamiętam dokładnie, gdzie były część rzeczy z Powstania Warszawskiego: karabiny, jakieś drukarenki, stacje nadawcze i to mnie bardzo jakoś interesowało w tamtym okresie. Babcia się nazywała Maria Ludwicka po ojcu, a z domu była, właśnie to była rodzina Ciecierskich. Natomiast babcia... Dziadek się nazywał Michał Ludwicki i babcia po dziadku miała nazwisko Maria Ludwicka. Tak. No, później ten okres, kiedy byłem w szkole podstawowej. Oczywiście wtedy się nie interesowałem specjalnie ani opozycją, ani tym, co się dzieje w kraju. Jakoś tak, może za młody byłem, bo to był powiedzmy 1980 rok, to ja miałem ile, 1967 to 13 lat miałem. Ale zdarzyło się tak, że pojechaliśmy do siostry mojej mamy, która żyła w Gdańsku i akurat wyjeżdżaliśmy z wakacji w dniu pamiętam 30 sierpnia 1980 roku, na dzień przed podpisaniem porozumień sierpniowych. Zresztą właśnie pociąg się... Musieliśmy czekać na następny pociąg, bo jakoś pociąg nie odjeżdżał. I akurat wtedy będąc tam przed dworcem widziałem te tłumy przed stocznia, które się zbierały i też to mi jakoś zapadło w pamięć. No teraz trochę może powiem o szkole podstawowej, która też wpłynęła bardzo silnie na to, co potem robiłem. Chodziłem do Szkoły Podstawowej 279, najpierw na przyczółku Grochowskim, a potem nastąpiła taka historia, którą mogę w skrócie jako anegdotę opowiedzieć. Zawsze się śmieję, że już takie pierwsze objawy tego, żeby się upomnieć o sprawiedliwość społeczną, miałem, bo budowano Trasę Łazienkowską i robotnicy na Trasie Łazienkowskiej prosili nas, młodych chłopców, bo oni w takich barakach tam mieszkali, czy pracowali, żeby im przynosić piwo. Był sklep Społem, gdzieś na osiedlu. Myśmy chodzili [po] to piwo i za to piwo dostawaliśmy jak przynieśliśmy, to taką skrzynkę piwa dawali nam 5 złotych. No i kiedyś nastąpiła taka sytuacja, że oni nam tam chyba z dwa razy już posłali czy trzeci raz i myśmy to przynieśli, i oni nam nie chcieli zapłacić. No i ten kolega mówi „Dobra, to idziemy”. Ja mówię „Nie, nie, to chwilę, to jakoś się zemścimy”. No nie może tak być, że nam nie dali za ten. No i w jakiś taki przygłupi sposób znalazłem taki metalowy drąg. Oni siedzieli w takim barakowozie okratowanym ze wszystkich stron. No więc ja tam po cichu zabiłem ten barakowóz,

zamknąłem ich i poszliśmy, myśląc, że oni tam za pół godziny wyjdą sobie. Ale się okazało, że oni nie wyszli, nie mogli się wydostać, bo to były kraty ze wszystkich stron. No i następnego dnia rano w szkole się pojawiła milicja. Chodzili po wszystkich klasach. Jak wpadli do naszej, to oczywiście ci robotnicy z tym milicjantem powiedzieli: „A, to ci”. No i się zrobiła wielka afera. Musiałem z tej szkoły się ewakuować, ponieważ moja mama pracowała w Liceum Żmichowskiej jako nauczycielka to mi załatwiła przeniesienie z moim kolegą do szkoły nr 18 na Polnej. Tam była szkoła na bardzo wysokim poziomie, podstawowa. Nauczyciele byli z takiej przedwojennej, powiedziałbym, przedwojennej klasy i też tam wiele się nauczyłem, chociażby takiego podejścia, powiedziałbym, do ontologii pracy czy, czy podejścia do tego, jak się powinno rzeczy robić, jak powinno wszystko wyglądać, pewnej kultury osobistej, to była naprawdę szkoła życia, ta podstawówka. Dwójka z moich nauczycieli była w obozie w Auschwitz, przeżyła ten obóz, więc pokazywali kiedyś nam nawet numery na rękach. I stamtąd zapamiętałem też taką historię krótką, którą opowiem. Lekcje języka rosyjskiego i polskiego się odbywały od strony ulicy Polnej i często siedzieliśmy przy oknach. Tam jak w lecie było okno otwarte i było coś takiego, że był przystanek autobusowy na dole i zawsze jak podjeżdżał autobus, to była jakaś taka starsza, bardzo starsza pani, która otwierała okno i coś krzyczała. Nie można było dokładnie zrozumieć, co ona krzyczy. Ale jak to dzieci myśmy się podśmiewali z tego, że to jakaś wariatka jest. No i kiedyś właśnie tak podśmiewając, któraś z pań nauczycielek, nie pamiętam, czy to była pani od polskiego, nas za to porządnie, że tak powiem, ochrzaniła i powiedziała, czy my wiemy, dlaczego ta pani krzyczy? Mówiliśmy, że nie. No, myśleliśmy, że może jest chora psychicznie, a się okazało, że w czasie wojny była łapanka i ona widziała całą swoją rodzinę, jak była zabrana z ulicy przez Niemców. Tak że to jej tak zostało i potem jakoś prawdopodobnie taki, coś takiego się stało, że ona po prostu straciła rozum czy nie wiadomo co. Tak, to było tyle chyba o szkole. A jeszcze jedna rzecz o szkole to taka, że ja nic na przykład nie wiedziałem o Katyniu. I ten mój kolega, z którym przyjeżdżałem z Przyczółka Grochowskiego do szkoły codziennie, a to był kawałek drogi. Myśmy jeździli Trasą Łazienkowską, czasami na rowerach. Kiedyś na lekcji historii, kiedy była historia o II wojnie światowej, on wstał i spytał pani, czy może opowiedzieć o Katyniu. I ta pani w ogóle się zrobiła czerwona. Zaczęła się tam plątać straszliwie, nie wiedziała, co powiedzieć. No, ale jakoś tam to powiedziała, że nie wie dokładnie, o co chodzi, że to nie jest znany fakt. Tak dokładnie nie wiadomo historycznie jak to wygląda, ale ja też tego nie wiedziałem. I potem, jak żeśmy wyszli ze szkoły, wracaliśmy do domu i się spytałem o co chodzi. I się okazało, że on mi wytłumaczył, co to jest Katyń. Powiedział, że jego dziadek zginął w Katyniu. Wtedy się dowiedziałem. To tyle tytułem wstępu jeśli chodzi o, że tak powiem, o moje takie wspomnienia z dzieciństwa, powiedziałbym tak. Ja mieszkałem przez... Jak byłem mały zupełnie, mieszkałem na Żąbkowskiej 38, naprzeciwko Monopolu i to też mam wspomnienia z dzieciństwa. Jak się wychodziło na czwartym piętrze na balkon, to nad ranem tak wcześniej rano słychać było ten otwieranie tych bram i te ciężarówki z wódką, które wyjeżdżały na całą Polskę, bo to rano one wyjeżdżały, a wieczorem zjeżdżały puste. No oczywiście Bazar Różyckiego to jest moje dzieciństwo. Sprzedawałem tam komiksy, jakieś wymiany, podejmowałem pierwsze próby robienia biznesu. No i oczywiście całe to moje dzieciństwo właśnie się koncentrowało między Żąbkowską, gdzieś tam Targową. Potem zaczęliśmy mieszkać na przyczółku Grochowskim, ale ja często bywałem u babci, tam na Żąbkowskiej. Więc tak jak mogę powiedzieć. Może już mało kto pamięta w Warszawie, ale był specyficzny, była taka specyficzna gwara praska, na przykład na bazarze. Do tej pory tam mają. Sprzedają jakieś pyzy, flaki. Ale ja pamiętam to z dzieciństwa, jak siedzieliśmy na tych takich. Mieliśmy takie swoje stoliczki, jakieś małe, sprzedawaliśmy te komiksy i przychodziły te panie i krzyczały: „Flaki, pyzy gorące!”. Więc takie to były. Albo na przykład „Tu się sprzedaje, tu się kupuje. Odejdź, chłopaczku, bo cię opluję”. Takie były tego typu teksty. Więc to mi też zapadło w pa-

mieć. I oczywiście teraz, jak przechodzę czasami przez Bazar Różyckiego, to tak dziwnie się czuję. Bo ja tak słyszę ten gwar cały, jakby sobie to wyobrażam, ale już w tej chwili tam nic nie ma. Także tak czasami myślę. Ale ja to tak widzę oczami, tak jakby to było żywe wszystko. To jest babcia. To chyba z lat 80. Koniec lat 70. lub początek lat 80. Babcia była bardzo pogodną osobą właśnie i bardzo taką nastawioną do życia w sposób bardzo pozytywny. Pamiętam, jak wybuchł stan wojenny i babcia wpadła do nas chyba następnego dnia. Powiedziała „Ja już jedną wojnę przeżyłam, to nic takiego”, więc jakoś tak starała się podnieść na duchu wszystkich. Aha, jeszcze wracając do tej szkoły. Też taką historię opowiem może dlatego ci nauczyciele u mnie mieli wielki respekt. Kiedyś była rewolucja, rocznica rewolucji październikowej i w szkole tej Osiemnastce, ponieważ ona była na Polnej, gdzieś tam niedaleko chyba od tej rosyjskiej ambasady, sowieckiej wtedy i wysyłano na rocznicę rewolucji październikowej jakieś takie delegacje z kwiatami. Coś takiego. Nie wiem, nigdy nie byłem, ale. No i zaproponowano, żebym to ja z tym kolegą jakoś poszedł te kwiaty zanieść, a myśmy tego dnia mieli, przynieśliśmy, znaczy ja przyniosłem swój aparat, taki miałem jakiś taki aparat plastikowy, to Smiena była czy coś, jakiś taki, no w każdym razie czarno-biały i zdjęliśmy flagę, która wisiała czerwoną zaraz na pierwszym piętrze, tam przy wejściu do szkoły. I wrzuciliśmy ją do klozetu i zrobiliśmy zdjęcie. Niestety zobaczyła nas woźna, więc się zrobiła straszliwa afera. Dyrekcja i tak dalej. Ale okazało się, że moja nauczycielka pani Kopyt wzięła to na siebie. Powiedziała, że to ona przyniosła aparat, że to ona nam powiedziała, żeby robić zdjęcia, że to był jakiś taki nasz wybryk, ale że ona bierze pełną odpowiedzialność. I ta dyrektorka szkoły, pomimo tego, że prawdopodobnie była dość czerwona jak na tamte czasy, nie wezwała ani policji. Znaczy no SB. I jakoś to się udało, że tak powiem zapomnieć o tej historii, że nie mieliśmy z tego powodu jakichś konsekwencji, ale na tamte czasy to to można było mieć. No bo z liceum też wiedziałem od mamy, że jeden z jej uczniów, który sobie dla zabawy namalował granicę Polski – Mariusz Wyszowski się nazywał – namalował sobie przed lekcją historii granice Polski sprzed wojny to skończył w Pałacu Mostowskich na przesłuchaniu całonocnym. Także tak to wyglądało, to wiem z relacji mojej mamy. To znaczy to już jest chyba ciutkę późniejsze. Tak mi się wydaje, że to będzie jakiś tam osiemdziesiąty już może czwarty, może rok, to będzie trzeci, może. Nie wiem, no trudno mi powiedzieć, ale nie. Chociaż to może być drugi lub trzeci. To może być i tak jak mówiłem, do momentu stanu wojennego jakoś polityką się specjalnie nie interesowałem. Natomiast pamiętam ten dzień stanu wojennego ze względu na to, że obcięli Teleranek, to oczywiście było jasne, że to jakoś tam wpłynęło, to się pamięta, ale pamiętam też, bo wtedy już mieszkaliśmy, przenieśliśmy się dosłownie chyba na pół roku przed stanem wojennym z przyczółka Grochowskiego przenieśliśmy się na Igańską, to też jest na Grochowie, ale troszeczkę dalej przy Rondzie Wiatraczna i z balkonu na czwartym piętrze widać naprzeciwko. Po przekątnej widać taką stację pożarnictwa, znaczy strażacką, to są strażacy. I tam pamiętam, że jak w dzień wybuchu stanu wojennego pamiętam dokładnie, że tam rano, jak wyszliśmy na balkon, to stało pełno transporterów, to było zastawione. Cała ta była zastawiona takimi transporterami, to pamiętam dokładnie. No i właśnie pamiętam to, że telefony nie działały oczywiście. Potem przyszła babcia, chyba następnego dnia czy wieczorem tego samego nie pamiętam dokładnie, ale właśnie powiedziała, że ona się. Ona już jedną wojnę przeżyła, także nie ma co się przejmować. No ale jakby to już w domu ta atmosfera, mówienie o tym, że właśnie, że Jaruzelski zaatakował naród, że jest stan wojenny, że jest wojna, no to wpłynęło na to, że bardzo szybko w szkole zacząłem sobie zdawać sprawę, że coś jest nie tak. Że coś się stało takiego, co spowodowało, że no nie jesteśmy w takiej samej sytuacji, jak byliśmy jeszcze miesiąc wcześniej czy tydzień wcześniej. I wtedy zaczęły się te pierwsze. Ja już wtedy byłem w Liceum Żmichowskiej w grudniu. A ile miałem lat? Zaraz sobie policzę 1967-80. Miałem 13, 14 lat musiałem mieć wtedy jak stan wojenny wybuchł. I zaraz od pierwszych dosłownie dni stanu wojen-

nego jakoś tak się w klasie szybko okazało, że są dwie, trzy osoby, które jakby też się z tym nie zgadzają. Wiadomo, że rozmowy były między kolegami. No i wtedy dwóch moich kolegów, z którymi właśnie o tym rozmawiałem: Maciek Kostro i Paweł Butkiewicz stwierdzili, że znaczy razem, wspólnie stwierdziliśmy, że coś trzeba z tym zrobić. Tutaj jest nawet ich zdjęcie. Potem pokażę. Z okresu kiedy już zaczęliśmy działać to chyba 1982 rok jest. I tutaj jest tak po kolei. To jest Piotr Butkiewicz, to jest Maciek Kostro, a to jego brat Paweł Kostro. Ja robię zdjęcie, więc siłą rzeczy nie ma mnie na zdjęciu. Ale to była nasza grupa pierwsza, którą zaczęliśmy działać wspólnie, sypiąc ulotki i tam różnego rodzaju wprowadzając akcje. I to się zaczęło tak, że wtedy nie wiedzieliśmy jak. Ja miałem kupę pomysłów, a właśnie te pomysły się brały stąd, że widziałem jak byłem młodszy, chodziłem do tego Muzeum Warszawy na Rynku Starego Miasta i tam widziałem, że mieli jakieś takie drukarenki ręczne, robiono ulotki i od razu wpadłem na ten sam pomysł, że to przecież można spokojnie zrobić to samo w domu i to, że tak powiem, przygotowywać w ten sposób. I zaczęło się to tak, że generalnie ja robiłem, ponieważ koledzy nie mieli takiej możliwości w domu. Ja robiłem te ulotki, drukowałem tych ulotek przez noc kilkaset i potem rano je przynosiłem, spotykaliśmy się, jechaliśmy do szkoły, ja jechałem z Grochowa w stronę, w stronę Żmichowskiej. Spotykaliśmy się najczęściej. Oni jechali z Mokotowa. Spotykaliśmy się na placu na Rozdrożu i tam w tych okolicach, między placem na Rozdrożu, Marszałkowską, w tych okolicach żeśmy po prostu sypali i malowali różnego rodzaju hasła. I tutaj jest takie zdjęcie. Nie wiem, to jest chyba rok 1983, ale zaraz zobaczymy. Powinno być jedno zdjęcie z ulotkami. Tu jest na przykład takie zdjęcie jak drukujemy plakaty, takie do naklejania. Czy ja tutaj drukuję, tu kolega mi robił zdjęcie, tam są też takie. Oczywiście te ulotki były bardzo prymitywne. Wyglądało to tak, że na początku były dwa problemy. Pierwszy. Nie było papieru, więc żeby mieć papier, to ja i koledzy chodziliśmy po wszystkich kioskach Ruchu i kupowaliśmy jak się dało zeszyty białe, czyli bez linii i bez kratek. Potem te zeszyty się rozrywało i że tak powiem, były białe kartki A4. Na tych kartkach drukowaliśmy, a drukowaliśmy w ten sposób, że ja przygotowałem taką matrycę, że miałem pudełko drewniane, jakieś takie góralskie. Na to pudełko wycinane były litery z tektury takiej grubej i potem to było przyklejane do danego hasła. Jakimś tam wałkiem się to nakładało tusz i potem to było przekładane tak po kawałku. No, hasła były bardzo proste: „Uwolnić Lecha”, „Solidarność żyje”, „Przywrócić Solidarność”, o tego typu rzeczy. Tam nawet chyba gdzieś jeszcze jest takie zdjęcie z tymi ulotkami. Potem to się cięło. Ja to cięłem w nocy nożyczkami. Na początku nożyczkami, potem się okazało, że mam taki stary do cięcia zdjęć, taki przecinak i się okazało, że to szybciej idzie. No i takie paczki tych ulotek przynosiłem. I myśmy właśnie rano na Placu na Rozdrożu, czy po szkole, czy przed szkołą żeśmy to rozrzucali. Wcześniej malowaliśmy też hasła na murach, do tego używaliśmy różnej tam farby. A potem stwierdziliśmy, że ciekawą alternatywą jest branie takich gąbek okrągłych, które się zamykały i można było nasączyć. I ta gąbka była okrągła i nasączona tuszem, więc się łatwo chowało do kieszeni. A jednocześnie, jak się pisało, na przykład robiło się kotwicę, to był bardzo ładny ślad, bo to był równy ślad, więc ta kotwica bardzo ładnie wychodziła. Taka jak namalowana. Tego żeśmy używali i to właśnie w okolicach no wszędzie Marszałkowska, Plac Zbawiciela, gdzieś tam Trasa Łazienkowska, Plac na Rozdrożu. W tych okolicach żeśmy sypali te ulotki, robiliśmy te napisy. Z takich akcji większych w tamtych w tamtym okresie to pamiętam, że była taka na wysokości Wisłostrady od strony Pragi. Na dole pod Trasą Łazienkowską leżała taka wyłożona łódź ogromna. Nie wiem, czy to była jakaś taka, drewniana łódź odwrócona, ale wielka. Jak się jechało Wisłostradą to tę łódź było bardzo dobrze widać ze wszystkich stron. I myśmy tam walnęli taki wielki napis właśnie „Solidarność” na tej łodzi widoczny. Potem no takie różne robiliśmy akcje. Na przykład tam właśnie w okolicach Wisłostrady też był jakiś napis „Centrum ZSRR, techniczne ZSRR”. Gdzieś tam już nie pamiętam w jakiej to miejscowości było, żeśmy to wszystko zamalowali. Już taki, że tak powiem, no jak

to powiedzieć nienawiści do tych Sowietów. Chociaż to czasami nie miało zupełnie sensu, bo akurat to był jakiś tam drogowskaz. Ale tego typu akcje robiliśmy również w szkole w tym okresie. No tak jak we wszystkich szkołach, w wielu szkołach w Polsce były te akcje noszenia oporników, jakichś takich czarnych dni czy cichych dni, że się wychodziło na przerwę i była cisza zupełna. Myśmy jeszcze dodatkowo stosowali takie pseudo-represję, można powiedzieć. To znaczy wiedzieliśmy na przykład, że mąż pani od geografii jest ubekiem. No to malowaliśmy na na jej drzwiach od czasu do czasu szubienicę, na której było, na której wisiał napis „SB”. Ona się straszliwie wściekała. Tam jakieś dochodzenie było w szkole. No, ale jakoś nigdy nas nie złapali. Oprócz tego zmienialiśmy orzełka. Ciągłe w klasie dorabialiśmy taką koronę z jak to się mówi – z aluminium. Tam z jakichś cukierków się wycinało koronę i myśmy to doklejali, oni to zrywali, ale nie było siły, żeby nas pilnowali. Tam nie było kamer, że można było pilnować. Więc co jakiś czas żeśmy tam doklejali i to tak. Tak to wyglądało w szkole. No i potem jak te pierwsze akcje ulotkowe już żeśmy się wdrożyli do tego, no to jakby był taki moment, że no już robiliśmy to naprawdę w dużej ilości. Potem sobie tak z perspektywy czasu myślałem, że to jakoś nam się strasznie udało, chyba dlatego, że byliśmy grupą zupełnie z nikim nie związaną, bo wsypaliśmy ciągle w tych samych miejscach, tak z grup w tym samym regionie, więc no jak ta bezpieka by w końcu chciała, to pewno by nas tam jakoś namierzyli. Ale pewno te ulotki jakoś tych ulotek i ilość może dla nich nie była interesująca. Nie to było ich priorytetem. Tak sobie potem to kiedyś analizowaliśmy. Jeśli chodzi jeszcze o ten okres, to znalazłem takie zdjęcie. To też jest ciekawostka. Zupełnym przypadkiem, oglądając książkę o historii stanu wojennego, znalazłem takie zdjęcie spod krzyża kwiatowego, który był układany koło kościoła Świętej Anny, gdzieśmy tam często chodzili śpiewać piosenki. I tutaj na tym zdjęciu, no to można potem zrobić zbliżenie. Ale tutaj widać mnie i mojego kolegę Maćka Kostro, tutaj z tyłu stojących. Ja z wyciągniętymi palcami z tą Wiktorią. Z tym sypaniem ulotek to było tak, że też na przykład kleiliśmy jak robiliśmy takie jakieś ulotki, to one też. Mieliśmy klej i na przykład przyklejaliśmy w bramach. Pamiętam taką sytuację, że naklejałem jakąś ulotkę w bramie na Nowym Świecie i to w biały dzień. I jak już ją nakleiliśmy, to ktoś mnie tam za ramię złapał i się okazało, że jakiś ubek chyba czy jakiś funkcjonariusz tam wychodził. Ale ja byłem tak naładowany adrenaliną, że wyrwałem, wyskoczyłem i prosto wpadłem pod autobus, który przyhamował. Musiałem się ewakuować, że tak powiem, biegiem w drugą stronę. No to było takie klejenie właśnie. Na przystankach autobusowych były klejone ulotki. Wtedy jeszcze nie znaliśmy. Potem w Grupach Oporu to się robiło podwieszki. Ale myśmy tego, tych technik jeszcze nie znali. Z jedną z takich rzeczy to była tzw. a’la bomba. To się brało. Jak miałem ulotki, to na przykład się wchodziło. Ja chodziłem. Raz pamiętam taką sytuację, że miałem pełną garść ulotek i poszliśmy pod krzyż. Tym razem ten, który leżał na placu Piłsudskiego, znaczy przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Ja te ulotki chciałem rozdawać z ręki, ale ci ludzie się tak rzucili na te ulotki, że ja już po prostu wyrwali mi je. Więc ja, że tak powiem, jak to się mówi a’la bomba rzuciłem te ulotki w górę tak z ręki i to się opadło na ludzi. No ale potem z tego placu trzeba było jakoś zejść, bo to jednak było puste. No i jakoś tam tyłem się udało ewakuować też bez problemu. Także no w tym wszystkim mieliśmy dużo szczęścia, tak bym powiedział, bo nie wszystkim się udawało. Tu przykładem niech będą bracia mojej żony, którzy potem, jak to z opowieści się dowiedziałem tego, jeden się znalazł w więzieniu dlatego, że właśnie rzucał ulotki, a robił to w ten sposób, że wsiadał do autobusu. Jak już autobus dojeżdżał na jakiś przystanek w Siedlcach, to on brał ulotki, paczkę kładł na dach autobusu i wychodził. Jak autobus zamykał drzwi, ruszał to ten wiatr, który znaczy powietrze, które leciało, te ulotki zrywało. No i ktoś go tam podpatrzył i w ten sposób go w ten sposób go aresztowali. Potem przyszły te demonstracje 1, 3 maja, które zrobiły ogromne wrażenie na nas. Ja akurat się znalazłem, bo tam się pogubiliśmy. Mieliśmy iść razem, się pogubiliśmy. 1 maja nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że 3 maja znalazłem

się na barykadzie, która się znajdowała nad na moście Śląsko-Dąbrowskim, dokładnie nad Wisłostradą od strony Starego Miasta. I tam na początku próbowało to ZOMO nas, że tak powiem, zgonić z góry, z Placu Zamkowego, ale potem to już było rzeczywiście regularna bitwa i wojna na terenie całego Starego Miasta. I myśmy na początku wyrwali płyty chodnikowe, ponieważ ZOMO jeździło, oni próbowali dojechać po Wisłostradzie, to ,y rzucaliśmy te płyty na samochody i one, część z nich wtedy jeszcze nie miała takich zabezpieczeń. Potem oni się wycwanili i robili takie siatki na szyby, ale wtedy jeszcze tych siatek nie było, więc pamiętam, że rzucaliśmy te płyty i to rozwalało te szyby, więc była wielka wśród nich też panika. Potem zabrakło tych płyt, ale przyjechała jakaś taka przyczepa, on miał cegły na wierzchu czy jakieś takie kamienie i tę przyczepę ludzie zatrzymali i postawili w poprzek. Jak on stanął w poprzek i z tej przyczepy brano te kamienie, żeby rzucać dalej. No i potem już tam zgonili helikopterem, puszczali gaz chyba z helikoptera, czy jakoś tak, bo najpierw strzelali tymi granatami gazowymi. Ja już potem uciekłem na stronę Pragi, już wróciłem do domu, ale ten epizod bardzo silnie zapamiętałem. I potem jak miały być następne manifestacje, bo myśleliśmy, że to będzie tak trwało ciągle, się wydawało, że to teraz, jak już się ludzie ruszyli, to i z kolegą z Piotrkim Budkiewiczem przygotowaliśmy właśnie na wzór AK butelki z benzyną, które w plecaku żeśmy przynieśli i schowaliśmy je pamiętam jak dziś, jak jest, jak się wychodzi z tunelu z trasy WZ, to droga idzie wzdłuż zamku w stronę Pragi i tam po prawej stronie jest taka skarpa, na której jest jakiś taki pomnik pamięci wśród jakichś takich krzaków. I myśmy za tym pomnikiem pamięci to ukryli te butelki wcześniej myśląc sobie, że jak będzie dzień manifestacji, to my tam wpadniemy i będzie można je użyć. No ale się okazało jak przyszliśmy dwa dni później chyba czy trzy, to się okazało, że te butelki zniknęły. Czyli tam już ktoś chesał to albo czyścił, nie wiem. Oni chyba też byli nie na tyle głupi, żeby wiedzieć, że coś tam może być. To tak zapamiętałem to dokładnie. I to chyba to był jakiś taki też przełom, ten trzeci maja. Dlatego, że... No wtedy poculiśmy po pierwsze siłę, że wspólnie można wiele rzeczy zrobić. Jak się ludzie ruszą. No i z drugiej strony widzieliśmy też to bestialstwo tego ZOMO, tych ludzi, których pobito i jakby widzieliśmy wcześniej, że to nie są ludzie, z którymi można w ogóle dyskutować, ale wtedy jakoś to chyba był taki w moim przypadku taki przełom, że stwierdziłem, że to trzeba po prostu. To żadna walka na argumenty czy na ulotki to nie pomoże. To trzeba po prostu się no jakby zacząć może nie tyle zbrojnie walczyć, bo wtedy takiej możliwości nie było, no ale w jakiś sposób taki bardziej powiedziałbym no drastyczny, trzeba z nimi walczyć, no bo inaczej to się tego nie przeskoczy. To była taka chyba cezura przynajmniej w moim odczuciu. Ja miałem przyjaciela z dzieciństwa, z którym się przyjaźniłem naprawdę od małego, który mieszkał też na przyczółku Grochowski, na Cyrklowej. Ja mieszkalem na Winogórskiej, on się nazywał Artur Kowalik. Był troszkę starszy ode mnie. Tutaj jest jego zdjęcie. On niestety nie żyje, bo zmarł chyba na raka mózgu. Nigdy się dokładnie nie dowiedziałem, bo tam nie mogłem się z jego rodziną jakoś skontaktować dobrze. W każdym razie to był mój bliski przyjaciel. I w pewnym momencie, on oczywiście wiedział, on się nie mieszał w politykę i wiedział, co ja robię z kolegami. I zacznę od tego, że ja wyjechałem do Szwajcarii. Właśnie wtedy nastąpił taki moment, że mój ojciec pracował w Międzynarodowej Unii Telekomunikacyjnej w Szwajcarii i był tam delegowany przez Instytut Łączności jako matematyk i jakby to powiedzieć, specjalista od fal radiowych. No i myśmy chcieli. W ogóle była taka idea na początku, żeby przyjechać jeszcze przed stanem wojennym, potem nastąpił stan wojenny, więc myśmy dołączyli do ojca, a ojciec już tam pracował. Pierwszy raz chyba wyjechał na kontrakt koniec 1979, na jakiś krótki kontrakt i potem w 1980 roku wyjechał na krótki kontrakt, a potem w 1981 wyjechał na taki roczny kontrakt i tam go zastał stan wojenny. No i myśmy chcieli. Moja mama się zwróciła o paszport, tego dokładnie nie pamiętam, ale zwróciła się o paszport. Oni wtedy w ogóle nie wydawali paszportów i dopiero jak zawieszono stan wojenny, czyli to był chyba sierpień lub wrzesień 1982, wtedy

dostaliśmy paszport. Ja wyjechałem z mamą do Genewy, no ale oczywiście byłem, pamiętam, że płakałem na lotnisku na Okęciu, bo nie chciałem w ogóle wyjeżdżać. Dla mnie to było. Cały świat mi się walił, bo ja miałem tutaj kolegów. Miałem ulotkowanie, walkę z komuną. To w ogóle dla mnie to był jakiś. No to był to ciężki cios w pewnym sensie. No ale wyjechałem do tej Szwajcarii, ale oczywiście, ponieważ ojciec pracował legalnie, to myśmy często do Polski przyjeżdżali na święta czy na wakacje. I ja oczywiście miałem kontakt z moimi kolegami, jak wyjeżdżałem, to im powiedziałem. Oni prosili, żebym w jakiś sposób pomagał. Ja wtedy, pamiętam, przywoziłem jeszcze na początku, jak jeździłem samochodem, przywoziłem jakieś spreje do sprejowania, o tego typu rzeczy. Farby. Tak to wyglądało na początku. Jakiś 1983 może rok. Tam jeszcze chyba to było to. Nie potrafię tego czasowo dokładnie ustalić. Czy to było przed moim wyjazdem do Szwajcarii, czy w czasie mojego pobytu w Polsce. Ale była taka sławetna akcja na „Perspektywy”. Robiłem to ja, Piotr Butkiewicz. Obstawiali Maciek Kostro i Paweł Kostro. W samochodzie czekał, czyli ucieczka samochodem, Artur Kowalik. Ta akcja wyglądała tak, że na końcu Nowego Świata, jak jest Nowy Świat i tam już był Dom Partii, to zaraz dosłownie przed Smolną, chyba z dwie kamienice była taka ogromna witryna, chyba to się nazywało „Perspektywy”, tak mi się wydaje. I tam były wystawy Jaruzelskiego z jakichś spotkań to takie wielkie zdjęcia pamiętam i to było. Jak się szło Nowym Światem, to strasznie nas to denerwowało, że tak to sobie wisi. Ja z Piotrkim Butkiewiczem stwierdziliśmy, że no i z kolegami też, ale stwierdziliśmy, że trzeba to jakoś zniszczyć. I akcja wyglądała tak, że tam wcześniej przygotowaliśmy teren, czyli oglądaliśmy o jakiej godzinie kto tam chodzi, ile mniej więcej osób tam się znajduje, czy nie ma milicji, która stoi, bo tam było blisko Domu Partii, a często stali na tym rondzie. I wybraliśmy jakiś taki moment w ciągu dnia, sprawdziliśmy, jak można tyłem uciec, bo tam było tak, że jak się wchodziło w bramy, to dochodziło się. Bramy miały jakby podwórka, ale tam na podwórku zawsze był jakiś taki murek żeby przejść dalej, trzeba było przez ten murek przeskoczyć. Więc sobie przygotowaliśmy śmietnik taki, żeby po tym śmietniku w razie czego można było hop na śmietnik kopnąć śmietnik i przeskoczyć dalej. W samochodzie miał Artur Kowalik. Miał fiata swojej mamy, więc on czekał z tyłu po drugiej stronie, żeby zjechać na Wiślostradę. Ja z Piotrkim Butkiewiczem mieliśmy, pamiętam takie, włożyliśmy takie długie płaszcze. Ja miałem taki kamień, mniej więcej takiej wielkości brukowy. On miał taką fiolkę z farbą. I przeszliśmy na Nowy Świat. I przechodząc wzdłuż tych „Perspektyw” puściliśmy się biegiem. Ja walnąłem tym kamieniem, to szyba z hukiem się rozwalila, a on jeszcze walnął farbą i uciekliśmy. Potem się ewakuowaliśmy i to była taka dość fajna akcja, która nam przyniosła dużo satysfakcji. Tylko nie potrafię powiedzieć, czy to 1983 czy 1982, już nie jestem w stanie tego jakoś czasowo. Musiałbym odnaleźć tych kolegów, ale z nimi straciłem kontakt. No i teraz wracając do tego, jak przyjeżdżałem do Polski. Kontaktowałem się oczywiście z moimi kolegami. Kontaktowałem się z Arturem Kowalikiem i w pewnym momencie on mi powiedział, że on teraz, ponieważ on ukończył, to się nazywało chyba Technikum Geologii i Geodezji czy coś takiego. To było na Pradze i jak skończył to technikum, to czy jeszcze był w technikum to zaczął pracować czy robić jakieś staże na Żwirki i Wigury w Instytucie Geodezji i Kartografii chyba to się nazywało tak. W jakimś laboratorium takim wywoływania zdjęć. No i kiedyś mi powiedział, że tam jest, że ma tam kolegę właśnie, u którego pracuje, który zajmuje się tymi zdjęciami i że on mu tam powiedział o mnie i ten człowiek jest zainteresowany, ewentualnie żeby się spotkać, bo ja jeżdżę ze Szwajcarii i wie, że jest, że tak powiem, działam przeciwko komunie. No i doszło do tego spotkania. Tym człowiekiem był Andrzej Niedek. O którym się później dowiedziałem wielu rzeczy, też oczywiście, że on jest w Grupach Oporu. I miało to miejsce w tej ciemni i Andrzej Niedek był zainteresowany współpracą i tym, że ja mogę przywozić jakieś rzeczy ze Szwajcarii. Szczególnie chodziło o wszelkie materiały fotograficzne, wywoływacze, utrwalacze, filmy, błony, tego typu rzeczy. I on zaproponował spotkanie z kimś tam

takim no ważniejszym, tak ja to rozumiałem wtedy. I nastąpiło spotkanie właśnie z Teosiem Klincewiczem tamże. Też nie potrafię dokładnie. To chyba był myślę 1985 rok. Tak mi się wydaje, ale teraz już nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie. Może tak. Myślę, że 1985 rok to był. I Teoś Klincewicz oczywiście przedstawił mi tak z grubsza działalność Grup Oporu. Potem już tak powoli tych spotkań było kilka, ale na którymś kolejnym właśnie przedstawił mi Tadeusza. Wtedy tak go przedstawił jako Tadeusz, znanego opozycjonistę, który według Teosia miał się bardziej zajmować takimi sprawami zagranicznymi, właśnie kontaktami z zagranicą i powiedział, że on też się zajmuje poligrafią. No i w ten sposób zaczął się kontakt z Grupami Oporu i z Tadeuszem. Z jednej strony moi koledzy, którzy tam z Andrzejem Niedkiem się spotkali i tak dalej, oni nie weszli do Grup Oporu i zaczęli współpracować potem chyba. Znaczący chyba, na pewno z grupą Waldeczków. A ja ze swojej strony współpracowałem w ten sposób, że na początku zacząłem przywozić materiały dla Andrzeja Niedki, a potem już Tadeusz, że tak powiem, przejął rolę tego kontaktu, który... No i przez Tadeusza jakby się kontaktowaliśmy w sprawie tego, co można zrobić dla Grup Oporu i oficyny wydawniczej Rytm. Ja bardzo szybko pomyślałem o tym, że jeżeli taka organizacja rzeczywiście ma w jakiś sposób możliwość udokumentowania, że istnieje i że walczy z komunistami, to będzie możliwość załatwienia jakichś dotacji czy jakichś pieniędzy, czy jakichś materiałów dla nich ze strony szwajcarskiej. Ale żeby przejść do tego działu, to muszę teraz troszeczkę zmienić, wrócić do tej mojej działalności na terenie Szwajcarii. Może powiem tak, że na początku, jak przyjechałem do Szwajcarii, oczywiście tam się angażowałem w Kościele, angażowałem się wśród tej Polonii solidarnościowej, tam się dość sporo działało w Genewie. I wyglądało to tak, że jak próbowałem coś z ludźmi z kościoła porozmawiać o tym, żeby na przykład jakąś farbę przewieźć do Polski czy tam wrzucić do transportu, to oni w ogóle nie chcieli o tym słyszeć. To była pomoc czysto humanitarna. Nie było żadnego zrozumienia wśród Polonii tej, z którą ja się spotykałem, żeby w jakiś sposób pomagać takim np. strukturom jak Grupy Oporu czy jak Rytm. Potem się okazało po latach, że te środowiska polityczne są bardzo blisko związane z... No, powiedzmy tak z Michnikiem, z Geremkiem, z Mazowieckim. To taka była bardziej lewica niż cokolwiek innego. No ale to się okazało wiele lat później. W każdym razie w tym momencie, kiedy Tadeusz już jakby ten kontakt został nawiązany tam. Tak jak mówiłem, ja zdeponowałem w IPN-ie dokumenty, w których jest cała – to, co ocalało – korespondencja moja i Tadeusza, którą on przekazywał przez kurierów. To jest w IPN w Lublinie. I Tadeusz zaczął mi oczywiście przysyłać właśnie te listy, tygodniki „Mazowsze”. Ten kontakt się utrzymywał, a ja ze swojej strony, działając w Szwajcarii, zaraz na początku 1983 roku, dotarłem do takiej struktury, która się nazywała na początku to był Komitet Obrony Praw Demokratycznych. To jest strasznie długa nazwa, chyba Komitet Obrony Praw Demokratycznych o uwolnienie Bałuki, Michnika i Kuronia. Coś takiego, to strasznie długa nazwa była. Oni to potem zredukowali jako ADP, czyli Komitet Obrony Praw Demokratycznych w Polsce jakoś tak to skrócili. To się po francusku nazywało Association de Defense de Democratic Polonais. I tam poznałem, w większości byli to ludzie z partii socjalistycznej szwajcarskiej. To trzeba powiedzieć, że to była jedyna formacja wtedy, która w jakiś sposób tam Polsce pomagała. Oni organizowali manifestacje w Genewie, nie tylko w Lozannie. Wśród członków zarządu była pani Francois Spitelout, która była osobą związaną, znacząco była parlamentarzystką, ale była również wiceszefową Partii Socjalistycznej Szwajcarskiej, czyli dość wysoko postawiona osoba i bardzo przyjazna, jeśli chodzi o Polskę. Znacząco ona bardzo chciała Polsce pomóc i jakby z jej myślą, że w dużym stopniu z jej inicjatywy i z inicjatywy takiego innego specjalisty z Genewy, pana Aleksandra Anora powstał ten komitet. Na początku był zupełnie czysto szwajcarski. A jak ja się z nimi jakoś tak zbliżyłem i zacząłem opowiadać o tym, co robię w Polsce i że są takie organizacje, które walczą właśnie ulotkami i wydawnictwami, i malowaniem, i akcjami ulotkowymi z komunistami, to oni się bardzo tym zainteresowali. No i za-

cząłem uczestniczyć w pracach tego komitetu, tego zarządu, ale w sposób zawołowany, to znaczy ponieważ wtedy wiadomo było, że ja jeździłem do Polski w sposób oficjalny. W Genewie wtedy szefem rezydentury w polskiej misji przy ONZ był Gromosław Czempiński, który wyspecjalizował się w obserwowaniu Polonii, więc też trzeba było uważać. No i ja z nimi nawiązałem taki kontakt, potem już w zasadzie pracowałem przy wszystkim, co oni robili. I kiedy Tadeusz, z jednej strony te kontakty z Tadeuszem się stawały coraz częstsze, a z drugiej strony ja już byłem w tych strukturach tego ADP już od dłuższego czasu, pomyślałem, że spróbuję zaszcześcić ideę tego, żeby w jakiś sposób od nich ewentualnie uzyskać pomoc. No i wyglądało to tak, że rozmawiałem właśnie z Aleksandrem Anorem, on przekazał to od Francois Spitelout i powstała ta idea takiej wystawy. W sumie na początku było tak, że nie było jakoś to ustalone bardzo dokładnie, co to ma być, ale stwierdziliśmy, że dobrze byłoby zrobić wystawę, żeby poinformować ludzi o tym, co się w Polsce dzieje. I ja nawiązałem wtedy kontakt z biurem Solidarności w Paryżu, z panią Danutą Nowakowską. Oni posiadali taką wystawę gotową, to znaczy chyba z okresu zaraz po stanie wojennym. To były takie ogromne panele plastikowe, które się po prostu przykręcało i tam już było. To były zdjęcia już takie pod plastikiem i to było gotowe. Idea była taka, żeby zrobić wystawę o Grupach Oporu i o Rytmie, ale wykorzystując jakiś taki no, żeby to było większe, bo o samym Rytmie i samych Grupach Oporu to by było zbyt małe. Więc ja poprosiłem Tadeusza, czy mogliby dostarczyć jakichś zdjęć, czy ewentualnie jakichś takich materiałów na tę wystawę. Po tych kontaktach częstych z Tadeuszem i mojej działalności w ADP, no stwierdziliśmy właśnie w ADP, że dobrą rzeczą byłoby zrobienie takiej wystawy, która pokazywałaby, co się w Polsce dzieje, jak się walczy z komunizmem, jak organizacje podziemne drukują ulotki, rzucają ulotki. I skontaktowałem się z panią Danutą Nowakowską z biura Solidarności w Paryżu. Ona miała taką wystawę gotową z czasów stanu wojennego. Ogromne panele, na których były już gotowe zdjęcia plastikowane i do tego przez Tadeusza ja otrzymałem negatywy o działalności Grup Oporu Solidarni i Oficyny Wydawniczej Rytm. I te negatywy oczywiście tam wywołaliśmy, zrobiliśmy do powiększenia. I jeszcze tylko dodam na marginesie, że ta wystawa z Paryża była ogromna i ja oczywiście wszystko robiłem własnymi środkami, więc musiałem wynająć ciężarówkę. W nocy pojechałem ciężarówką do Paryża, załadowałem to w biurze Solidarności, przywoziłem to do Genewy i Aleksander Anor, który był wiceprzewodniczącym tej organizacji ADP, załatwił z Uniwersytetem Genewskim miejsce wystawy. A zrobił w ten sposób, że to było naprawdę bardzo dobre, bo okazało się, że możemy ustawić wystawę w holu uniwersytetu, czyli każdy, kto wchodził i wychodził z głównego budynku uniwersytetu, tam, gdzie była administracja, siłą rzeczy musiał przez tę wystawę przejść. Przynajmniej obok niej musiał przejść. Tutaj widać ludzi w holu uniwersytetu, którzy oglądają wystawę. Tutaj jest także jeszcze jedno zdjęcie. Może nie są tak zupełnie wyraźne, ale to była dość duża wystawa, jeśli chodzi tak objętościowo i pokrywająca czasy od stanu wojennego, poprzez ruch oporu i koncentrująca się właśnie na akcjach ulotkowych Grup Oporu Solidarni i Oficyny Wydawniczej Rytm. I teraz tak może tutaj, jeśli chodzi o te zdjęcia jeszcze, to zachowały się zdjęcia z wystawy, takie zupełnie jak to powiedzieć, no można powiedzieć autentyczne. To znaczy to są zdjęcia, które na wystawie były pokazywane. To są pozytywy, negatywy gdzieś mi zaginęły, ale to są pozytywy. Na przykład tu jest zdjęcie takiego transparentu, a tutaj jest zdjęcie transparentu i akcji ulotkowej chyba na podwieszce tutaj, nie wiem w którym to jest miejscu dokładnie, ale rozwinięcie transparentu przez Grupy Oporu. I tych zdjęć było sporo. Były też zdjęcia z drukarni Rytmu pokazane jak się drukuje ulotki. Na otwarciu wystawy przyszła właśnie przewodnicząca Partii Socjalistycznej, wiceprzewodnicząca Partii Socjalistycznej, pani Francois Spitelout. Była prasa, było dużo ludzi, byli ludzie z uniwersytetu, przedstawiciele uniwersytetu. Także ten wernisaż wystawy wypadł naprawdę bardzo dobrze. Ukazały się notatki również w prasie. No i wystawa była przez dwa tygodnie chyba, o ile pamiętam, tam ekspono-

wana. Także naprawdę. A ponieważ to jest Uniwersytet Genewski, to tam się bez przerwy tłumy przemieszczają i sporo ludzi miało na pewno możliwość obejrzenia tej wystawy. Także to było coś, co myślę, no w jakiś sposób się przyczyniło do tego, że potem te kolejne już etapy zdobywania tej dotacji poszły trochę łatwiej. I teraz może właśnie przejdę troszeczkę do tego, jak udało się zdobyć dotację na Grupy Oporu Solidarni, bo to jest taka część chyba historii, o której ja troszkę opowiadałem, ale do dzisiaj nie do końca wyjaśniona. W pewnym momencie, jak już ta wystawa, że tak powiem, przeszła, ja zaproponowałem Aleksandrowi Anorowi, czy byłaby możliwość opowiedzenia właśnie wśród ich organizacji związkowych o tym co robią Grupy Oporu i co robi Rytm. i uzyskania jakiejś pomocy чисто finansowej. Po prostu chodziło o to, czy mogą dać jakieś pieniądze na Grupy Oporu i na Oficynę Wydawniczą Rytm. W czasie moich kontaktów z Tadeuszem, w czasie moich przyjazdów do Polski, powiedziałem mu o takiej możliwości. Powiedziałem, nie tyle, że możliwości, że jest, tylko że będę się starał taką rzecz załatwić, że z pierwszych rozmów wynikało, że być może jakieś ewentualnie są możliwości, żeby takie pieniądze uzyskać. I Tadeusz się do tego oczywiście bardzo zapalił. No i ja w Szwajcarii cały czas rozmawiałem z ADP i w pewnym momencie Aleksander Anor zgłosił się do pani Francois Spitelout, która to przez swoje jakieś kanały, nie wiem, czy parlamentarne, czy polityczne powiedziała, że jest taka organizacja, która się nazywa OSEO. To się nazywało tłumacząc pełną nazwę Dzieło Śródrobotnicze Pomocy. Dzieło Pomocy Śródrobotniczej, coś w tym stylu. W każdym razie to jakby ta organizacja zajmowała się pomocą organizacjom związkowym lub organizacjom robotniczym na całym świecie. To było takie, tak z mojego punktu widzenia trochę marksistowska organizacja, bo tam podejrzewam, że oni bardziej sponsorowali jakieś ruchy w Południowej Ameryce czy coś takiego, ale z rozmów, które tam miałem, wynikało, że to jest taka bardziej lewicowa organizacja. No ale wtedy się nie liczyło skąd, liczyło się, czy się uda załatwić pieniądze. I na kolejnym spotkaniu z Aleksandrem Anorem, już z panią Francois Spitelout oni powiedzieli, że żeby coś takiego zrobić, to trzeba przygotować, no jak to powiedzieć, jak to się dzisiaj mówi, grant proposal, czyli trzeba przygotować jakąś dokumentację, bo to tak nie można pieniędzy dostać. Ja wtedy pamiętam, że na spotkaniu z Tadeuszem w Polsce, to już było jakoś tak, że już wiedziałem, że taka możliwość będzie. Nie pamiętam dokładnie, nie potrafię powiedzieć, w którym to roku było, ale myślę, że to był rok 1986, może koniec 1985, początek 1986. Powiedziałem Tadeuszowi, że trzeba będzie zrobić dokumentację, czyli że po prostu musi udokumentować pełną działalność Grup Oporu, Oficyny Wydawniczej Rytm i wystąpić o pewien budżet, żeby te pieniądze można było dostać. Na początku... Tego też nie pamiętam dokładnie. Chyba było tak, że oni nie określili dokładnie, co tam ma być w tym raporcie, tylko po prostu musimy udokumentować tą działalność i wystąpić o jakieś konkretne cele. Tadeusz się tym zajął i przygotował taki, to co teraz istnieje w przestrzeni medialnej chyba, bo to widziałem, że było drukowane, tak zwany „Raport Tadeusza”, czyli tam było wypisane pozycja po pozycji co jest potrzebne Grupom Oporu, co jest potrzebne Oficynie Wydawniczej Rytm. I ten raport mi przesłał. Wcześniej jeszcze, zanim ten raport mi przesłał, ja się dowiedziałem, że ta suma łączna, na którą moglibyśmy liczyć, to byłoby około 40 tysięcy franków szwajcarskich, co było na tamte czasy naprawdę bardzo dużym wsparciem, jeśli chodzi o podziemie. No bo trzeba sobie zdawać sprawę, że te przeciętnicy, powiedzmy, dolara czy tych walut obcych czarnorynkowe były zupełnie inne niż te oficjalne. W momencie, kiedy Tadeusz przesłał przez kuriera, a stało się to tak, że ponieważ on różne rzeczy przysyłał, ale miał jakichś kurierów i dał mi znak telefonicznie, zadzwonił w nocy, że przyjdzie taki i taki kurier na lotnisko w Genewie. Oczywiście pojawiła się jakaś pani z LOT-u, chyba właśnie ubrana z tymi dokumentami. Te dokumenty bez słowa, że tak powiem, przejąłem tylko i zabrałem bez żadnej dyskusji. Przekazałem to, oczywiście następnego dnia zacząłem to tłumaczyć, bo to było kupę tłumaczenia, więc musiałem to przetłumaczyć na francuski. Przekazałem to do Aleksandra Anora,

on to, że tak powiem, zaakceptował i zanim jeszcze to wystaliśmy do OSEO, okazało się, że jakoś jest tak, że może być może trochę więcej nawet tych pieniędzy będzie można uzyskać. I poprosiłem Tadeusza, żeby zrobił takie uzupełnienie, żeby szkoda by było, żeby te pieniądze przepadły. Więc on tam jeszcze coś dostał. Już nie pamiętam w jaki sposób, czy to listownie, jakieś uzupełnienie tego budżetu. I potem, jak już to wszystko zostało przetłumaczone... Aha, jeszcze dodam, że tam na końcu – ten raport oczywiście mam tutaj cały zeskanowany, jakby ktoś chciał obejrzeć, to jest w całości i to on tam napisał, że właśnie przedstawicielem Grup Oporu i Oficyny Wydawniczej Rytm w Szwajcarii jest Marcin Brynda i że on może reprezentować Grupy Oporu i Rytm we wszystkich sprawach związanych z dysponowaniem pieniędzmi i przekazywaniem dotacji. Wystaliśmy to do tego OSEO i to jakiś czas tam leżało, ale po jakimś czasie okazało się, że oni wstępnie powiedzieli, że to jest ok, że to jest zaakceptowane. Nie powiedzieli wtedy jeszcze, jaka będzie suma, ale potem się okazało, że w pewnym momencie już powiedzieli, że ta suma będzie wynosić łącznie dostaniemy około 20 tysięcy franków, czyli z tych 40, które chcieliśmy, dostaniemy połowę. Tak to wyglądało. Tu jeszcze powiem, że z Tadeuszem było ustalone tak, że gdybyśmy dotację dostali, żeby przez telefon, bo Tadeusz czasami w nocy dzwonił do mnie z Polski do Szwajcarii i było ustalone tak, żeby nie mówić o żadnej dotacji i tak dalej, to będziemy mówić, że gdyby się udało dotację zdobyć, to że udało się zdobyć odszkodowanie za wypadek drogowy. No i tak faktycznie było. On kiedyś zadzwonił i ja już wtedy wiedziałem, że ta dotacja będzie przyznana. Jeszcze nie było decyzji, ale już słyszałem, że jest zaakceptowana i powiedziałem Tadeuszowi, że właśnie udało się odzyskać w ramach wypadku odszkodowanie. I on się bardzo ucieszył oczywiście. I potem już następuje cała dalsza część dotycząca dotacji, o której za chwilę opowiem. Ale jeszcze był taki jeden epizod. Ja byłem, muszę przyznać, że byłem zapatrzoną w Tadeusza i w Teosia Klincewicza jak w obrazek. No wiadomo, to dla mnie byli, że tak powiem, działacze opozycji i o wspaniałych biogramach. Nigdy sobie nie zdawałem sprawy, że Tadeusz mógłby na przykład być agentem. To się potem okazało po latach. Nie miałem absolutnie takich podejrzeń. Ale był taki jeden epizod, który dopiero później jakby sobie zdałem sprawę, że powinienem był zwrócić uwagę. Tadeusz często dzwonił w nocy. On potrafił zadzwonić na przykład o pierwszej w nocy gdzieś tam, bo nie mógł, mówił, że nie może wcześniej dzwonić i dzwonił w nocy.